

Z teatru o teatrze

Nadchodzą i zwyciężają...

Niezwykła świeżość i bezpośredniość spostrzeżeń cechuje tę sztukę. Tło społeczne, środowisko, stosunki obyczajowe, postaci — tak prawdziwe, tak dobrze znane z obserwacji, z opinii, z gazet, ba, z doświadczenia, z codziennego czynnego życia. „Koleżanki” to coś więcej niż sztuka, tak czy owak sklasyfikowana, to szmat rzeczywistości podpatrzonych z wielką spostrzegawczością, uchwyconych w przejawach najbardziej znamienitych, a potem z wielką kulturą myśli i słowa, lapidarnie a wnikliwie ujętych w syntetyzującą formę widowiska teatralnego.

Krzywoszewski nie tylko obserwuje wnikliwie, lecz i czuje gorąco, sam należąc do pokolenia starszego patrzy jednak w przyszłość i do tej przyszłości odnosi się z młodzieńczym optymizmem, a w stosunku do teraźniejszości zajmuje postawę bliższą młodzieńczej reakcji.

W Polsce toczy się dziś zacięta, nieustępliwa walka. Po jednej stronie mobilizują wpływy spryt, tupet, bezwzględność, a przede wszystkim kapitały reprezentanci pieniądza w rodzaju Berstenów i Rozenkranców, po drugiej stronie zakusują rękawy i zaciskają pięści młodzi Kubikowie. Pośrodku, pomiędzy nimi błaskają się hrabiowie Kosarzewscy i przemysłowcy Orchowicze, a naokoło tych sztyków krążą po różnych orbitach, tworząc barwne tło „społeczeństwa” Maesterzy — literaci, Giełbutowie — dziedzice imion i herbów, Bogumili Zonnery — „modni lekarze”, Kodrębscy, Węglarze — słowem salonowo — ulicznie — dancingowa czelada.

Oni nie są jednak ważni, oni są masą, pojęciem. Ważny jest Kubik, ważny jest Bersten i ważny jest Rozenkranc.

Bersten i Rozenkranc mobilizują nie tylko kapitały lecz i ludzkie dusze. Marne to jednak dusze: małe, tchórzliwe i spodłone jak dusza Orchowicza, lub sterroryzowane, przerażone, automatyzowane jak duszyczka Węglarza. Usiłują także zmobilizować nazwiska i herby Kosarzewskich, lecz tu ich

spotyka pierwszy zawód. Starzy Kosarzewscy nie umieją wprawdzie utrzymać w swych dłońach cugli kapitału, który wyrwa się z ich zaprzęgu, lecz umieją — odejść. Umieją ocenić swe herby, honor, imię. Schodzą z pola walki, lecz pozycję swoje — zrujnowane co prawda — odstępują nie Berstenom i Rozenkrancom, ale Kubikom.

Kubiki nie są gentlemanami, nie osłabiła ich wyrefinowana kultura. To chamy, które „biją w mordę”. Mają silne pięści, młodość w oczach i serca rozdygotane żądzą twórczej walki. Wychodzą na przeciw Berstenom i Rozenkrancom, a oczy ciemnieją im z gniewu, usta zaciskają się, tłumiąc przekleństwo, kuliaki zwierają się mocno... zbliżają się zwolna, lecz nieustępliwie.

Bersteny, Rozenkrance, Zonnery nie lekceważą sobie tych narwańców, „bez poczucia rzeczywistości” — bez kapitałów. Nieswojo jakos czują się w obecności tych mocnych, twardych „chamów”.

Kto ma większe szanse w zbliżającej się rozgrywce?

Krzywoszewski nie ma żadnych wątpliwości. Z mądrym, pobłażliwym uśmiechem patrzy na rozhukanych Kubików i... na nich tylko stawia.

Kosarzewscy stworzyli kulturę, Kubiki tworzą siłę. Lecz Kosarzewscy nie umieją tworzyć życia, gdyż nie umieją pracować. Dlatego muszą uступить z czynnego życia i oni i ich następcy — hrabiowie Giełbutowie. Nie im przypadnie w udziale budowanie nowej rzeczywistości. Budo- wać ją będą Kubiki. Te młode Kubiki, które o suchym chlebie, z płótnem w kieszeni wędrują ze wsi do miast, zapelniają warsztaty, szkoły zawodowe, fabryki, audytoria uniwersytetów i laboratoria politechnik, zielone szeregi batalionów piechoty i duszne kotłownie transoceanicznych okrętów. Te Kubiki, które „biją w mordę”, które odpychają nie tylko Rozenkranców od straganów, ale i Zonnarów od stołów operacyjnych i Berstenów od biurów dyrektorów. Sami zajmują ich miejsca. Kubiki — młoda Polska, która nadchodzi.

Nie mają herbowych tradycji i towarzyskiej oglady. Ale mają prawe

dusze, uczciwe serca, czyste dłonie i oczy patrzące jasno i śmiało. Kulturę zaszczerpią u ich ognisk domowych — córki Kosarzewskich, dziedziczki wiekowych tradycji. One rozumieją swą misję i podejmują ją z ochotą...

Taki jest ostatni akcent sztuki Krzywoszewskiego.

Lili Kosarzewska, to kobieta, na której degeneracja młodych hrabiów Giełbutów i rozkładowe wpływy pięknych Zonnarów wywołały wpływ tylko przelotny. W promieniach zdrowej siły i radości życia bijącej od Kubika odzyskała nie tylko równowagę ducha, lecz i poziom moralny kobiety strażniczki obyczajów. Z wiara podjęła też przekazaną jej tradycją i prawami życia misję. Budzącym się uczuciem wzmocniła siły Kubika.

Jej koleżanki poszły inną drogą. Córka Orchowicza zwabiona blaskiem złota idzie na utrzymanie do Berstena. Janka, siostra Wicka, usiłuje naśladować w rozwijaniu obyczajowym znane sobie dancingowe wzory, lecz równowagę przywraca jej najważniejsza misja kobiety — macierzyństwo.

Bogactwo typów, którym hojnie sfałszuje w swej sztuce Krzywoszewski, wynagalałoby drugiej recenzji. Każda bowiem z tych postaci tak różnych, jak i drugoplanowych jest podpatrzona, żywa, narysowana z talentem i psychologiczną wnikliwością w każdym szczególe.

Szczególne uznanie należy się reżyserowi Ziemińskiemu za koncert nastrojów, finezję dialogów, kolorysty i wyraz scen — jakie umiał wydobyc ze sztuki Krzywoszewskiego. Wiele z tych okłasków, którymi publiczność przyjmuje „Koleżanki” należy się temu najzdolniejszemu bodaj z młodych polskich reżyserów.

Zespół aktorski dobrano starannie. Przedstawienie zawierało tyle momentów aktorsko świetnych, tyle ról znakomicie zagraanych, że trudno je wszystkie wymienić i zachować właściwą hierarchię ocen.

Pierwszeństwo mają panie: P. Maliewicz - Domańska natchnęła takim ciepłem życiowym, prawdą i uczuciem postać Lili Kosarzewskiej, akcentując ją w dodatku swą wybitną urodą, że zyskała dla siebie i dla niej całkowitą sympatię widowni. Podobnie p. N. Andryczówna, która z wielką finezją, z umiarem i z wielkim wyczuciem aktorskiej dyscypliny zagrała rolę Heli Orchowiczówny. Całkowicie różna, choć równie prawdziwą i wykończoną postać stworzyła p. I. Borowska. P. Muclingrowa podobnie wywiała się z roli Kubikowej a p. H. Parysiewicz z roli Tekli Giełbutowej.

Najlepsze, jak sądzę, role męskie — to dr. Bogumił Zonner (któż mógłby lepiej taką rolę wyczuć i zagrać, jak nie Kurnakowicz?), dalej Tomasz Kosarzewski (W. Brydziński), wreszcie Dr. Bersten (niezawodny, jak zawsze

Samborski). Bardzo dobrze wypadły także role Jacka Kodrębskiego (doskonale czuł się w tej roli p. Józef Kondrat), hr. Henryka Giełbuta (sympatyczny Wilamowski) i Orchowicza — M. Myszkiewicz. W pozostałych wystąpili m. in. Socha, Małkowski, Kaczmarek, Dorowski (Węglarz), Kordowski, Dereń. Powszechną sympatię budził Kubik, grany z temperamentem przez p. Pichelskiego. Słabo wypadły tylko dekoracje St. Śliwińskiego. Zbyt były blade i proste, aby tworzyły tło, a zbyt skomplikowane, aby nie zwracały uwagi.

Stanisław Grzeleć

KIEPURA I MARTA EGGERTH W PARYŻU



Do Paryża przybył z Nowego Jorku Jan Kiepura wraz ze swą żoną Martą Eggerth, celem wzięcia udziału w wielkim koncercie muzycznym - wokalnym, organizowanym na rzecz schroniska dla artystów - weteranów.

„Największy święty XVIII w.”
św. Alfons Maria di Liguori

W dniu 29 b. m. mija sto lat od chwili uroczystej kanonizacji św. Alfonsa Marii di Liguori, Doktora Kościoła i założyciela dobrze zasłużonego zgromadzenia ojców Redemptorystów.

Św. Alfons Maria di Liguori, którego kardynał Van Rossum nazwał „największym świętym osiemnastego wieku”, urodził się 27 września 1696 r. w Marinella na przedmieściu Neapolu. Rodzice jego byli ludźmi bardzo bogobojnymi i dbalymi o wychowanie potomstwa, to też syn ich od najmłodszych lat wyrósł na pobożność, czułym sercem na niedole bliźnich i wielką pilnością w pracy nad sobą.

Po studiach Alfons Liguori otrzymał stopień doktora praw i rozpoczyna praktykę adwokacką, którą uprawia z wielkim powodzeniem przez dziesięć lat. Serce jednak i skłonności wzywają go

gdzie indziej. Porzuca karierę prawniczą i w r. 1723 wstępuje do seminarium duchownego. W dniu 21 grudnia 1726 roku otrzymuje święcenia kapłańskie i zaraz rozpoczyna gorliwą działalność duszpasterską.

Konfesor i ambona stają się umiłowanym terenem działalności gorliwego kapłana. Każdą wolną chwilę poświęca bezpośredniemu oddziaływaniu na swych nie dość silnie ugruntowanych w wierze bliźnich, przebiega okoliczności wsi i miasteczka, nauczając i krępując na duchu przede wszystkim maluczkich. W ten sposób stał się apostołem przygotowującym drogę nowoczesnemu apostołstwu świeckim, nowoczesnej caritas i nowoczesnemu duszpasterstwu wiejskiemu.

Jego wielka wiedza teologiczna a także dar wymowy sprawiają,

że władze kościelne powierzyły mu przewodniczenie rekolekcjom dla duchowieństwa archidiecezji Neapolu. W dniu 22 marca 1732 r. w cudowny sposób otrzymuje wizję N. P. Marii i słynny już w Neapolu duszpasterz opuszcza to miasto, by pod kierownictwem biskupa Castellammare Tomasza Falcia przystąpić do organizacji kongregacji Najświętszego Odkupiciela (redemptorystów).

Zadaniem nowej kongregacji miało być, według słów samego Świętego, „możliwie naciślej naśladować życie i cnoty Chrystusa Pana ku własnemu pożytkowi duchowemu i ku zbawieniu ludu, zwłaszcza dusz zaniedbanych”. Pierwszy swój dom zakonny otworzył św. Alfons w dniu 9 listopada 1732 r. w Scala pod Alfalfi, główne jednak siedziby nowego zgromadzenia powstały w kilka lat później.

Papież Benedykt XVI dekretem „Ad pastoralis” zatwierdził to zgromadzenie w r. 1749 i Alfonsa Liguori mianował żywotnym jego przełożonym. Praca redemptorystów, od razu poczęła wydawać błogosławione owoce, a sława Alfonsa rosła coraz bardziej, tym bardziej, że rozpoczął on w tym czasie także pisanie szeregu wybitnych dzieł z dziedziny ascezy, dogmatyki, teologii moralnej i pasterskiej, z których „Theologia moralis” jeszcze za życia Świętego doczekała się ośmiu wydań i do dziś stanowi podstawę do wszelkich prac z dziedziny teologii moralnej.

Zasługi te spowodowały, że papież Klemens XIII obdarzył Alfonsa Liguori katedrą biskupią św. Agaty de'Goti, którą Święty sprzedał przez lat trzynastę (1762—1775). Ostatnie lata swego żywota św. Alfons spędził, po rezygnacji z diecezji, w klasztorze w Nocera dei Pagani, gdzie zmarł w opinii świętości 1 sierpnia 1787 r.

Już w niespełna 30 lat po jego śmierci papież Pius VII ogłosił w dniu 9.9. 1816 r. Alfonsa di Liguori błogosławionym a Grzegorz XVI dokonał uroczystej jego kanonizacji w dniu 29 maja 1839 r.

Wspomniane już dzieło „Theologia moralis”, jak również inne pismo teologiczno-moralne, jak „Homo apostolicus” i „Praxis confessarii”, w których św. Alfons głosi w moralności umiarkowaną, ani zbyt rygorystyczną ani zbyt liberalną, zasadę t. zw. „ekwiprobabilizmu”, dzięki czemu waleń przyczynił się m. in. do wyplenienia błędów jansenizmu, sprawił, że Pius IX obdarzył w dniu 23 marca 1871 r. św. Alfonsa di Liguori tytułem Doktora Kościoła z przydomkiem „doctor zelantissimus”. „Zbudował pewną drogę, po której nie potykając się, może kroczyć duszpasterz” — mówi dekret dzisiejszy św. Alfonsowi tytułu Doktora Kościoła.

Ze Zw. Pań Domu

W dn. 31 maja i 7-go czerwca r. b. o godz. 18-iej w lokalu Związku Fań Domu, Nowy - Świat 9, odbędzie się pokazy kulinarne na temat: „Gospodarka domowa na wypadek wojny”, a pokaz juryzowany odbędzie się 14-go czerwca b. r.

WYGRANA ZA WYGRANĄ

i uśmiechnięte
twarze szczęśli-
wych graczy — oto
sukces kolektury

DZIERŻANOWSKIEGO

Nowy Świat 64

Freta 5

OLE STEFANI

49)

DZIEWCZYNA,
SAMOCHÓD i PIES
POWIEŚĆ

Przekład autoryzowany Eugeniusza Bałuckiego

Janet Gregory spotyka w Dieppe Martę Hope, córkę Daniela, który jest podejrzanym o zamordowanie ojca Janet. Spotkanie Marty Hope zrobiło na Janet ogromne wrażenie.

— Wyjechała?

Anderson skinął głową.

— Tak... I to jest właśnie całe nieszczęście... albo przypadek... Chociaż nie, raczej zagadka. Wyjechała w dwie godziny potem, jak Janet ją widziała I też nie powiedziała, dokąd jedzie.

Wszyscy milczeli, ogarnięci przynętnieniem. Violet szarpała nerwowo koronkową chusteczkę. Nagle Marcin Anderson rzekł poważnie:

— Ktoś ją musiał ostrzec... Ale kto?

XVIII.

Dręzące myśli, zrodzone na tle niezwykłych tajemniczych wydarzeń, które prześladowały Ja-

net od śmierci ojca, opuściły ją zupełnie, gdy tylko położyła się do łóżka. W przeciwieństwie do poprzedniej nocy spała twardo i spokojnie i obudziła się ze zdrowym apetytem.

Ale przy śniadaniu udzieliła się jej nerwowość Marcina Andersona, który z niepojętym podnieceniem rozmawiał o czymś ze służącym w dalekim kącie jadalni.

Violet wstała z łóżka. Cranbourne po dawnemu obsługiwał ją przy stole z osobliwą uprzejmą niedbałością, którą Violet przyjmowała z bojaźliwą wdzięcznością. Nie zapominał przy tym o Janet: przy każdej sposobności zwracał się do niej z tak jawną i zarazem poważną czułością, że dziewczyna wpadała w coraz większe zakłopotanie; widziała też, że Violet obserwująca pilnie majora, błędnie i kręci się niespokojnie na krześle, ilekroć Cranbourne na nią popatrzy, lub coś powie. Toteż zdziwiła się nieprzyjemnie, gdy po śniadaniu Violet ją obdarzyła nową falą hałaśliwej i wylewnej serdeczności. Zbyt ją jak mogła grzecznie i popatrzyła dokoła, szukając psa.

Ujrzała dziwny obraz: Mac Norton klęczał po drugiej stronie stołu, Tarka siedział w pewnym oddaleniu i spoglądał uważnie na kawałek cukru, którym sekretarz próbował przynęcić psa. Tarka kręcił łbem, nastawiając na przemian prawe, to znów lewe ucho, lecz nie ruszał się z miejsca. Mac Norton podczołgał się na krok, pies cofnął się na taką samą odległość, pomełdał ogonem,

przysiadł na tylnych łapach i znów patrzył nieruchomo na cukier.

Po chwili Mac Norton podniósł się, pokiwał głową i strzepnął kurz z kolan. Janet parsknęła serdecznym śmiechem.

Sekretarz zawtórował jej zmieszany nieco, spróbował podejść i pogłaskać psa, lecz Tarka uchylił się zwinnie i bardzo zadowolony pobiegł ku swojej pani.

— Panie Mac Norton — powiedziała dziewczyna — pan nie wie prawdopodobnie, że skoczkie psy nie idą w ogóle do obcych, a tym bardziej nie będą jadły z ręki. Pod tym względem Tarka jest szczególnie nieufny. I dobrze... przynajmniej w danym wypadku, bo cukier jest bardzo szkodliwy dla psa.

Mac Norton jeszcze więcej się zmieszał. Patrząc na jego zmartwioną i przestraszoną twarz, można było pomyśleć, że mu zarzucono co najmniej zamach na życie ludzkie. Zaczął przeproszać pokornie.

Janet nie słuchała do końca. Gwizdnęła na psa i pobiegła do parku, by tam się uśmieć do syta. Tarka skakał wokół niej wesoło.

— Tak, bawiłbyś się cały dzień! — uklękła i zaczęła tarmosić radośnie skomlącego psa.

Nagle padł na nią długi ruchomy cień. Podniosła oczy i ujrzała Ryszarda Cranbourne'a, a raczej papierosa, tkwiącego w ładnie zarysowanych ustach, potem kształtny nos i piękne szare oczy, a nad tym wszystkim miękki jasny kapelusz.

(D. c. n.).